

**Elżbieta Piątkowska (p. Moliszewska) – absolwentka 1972**  
**To już tyle lat minęło...**

To już tyle lat minęło, a ja mam wrażenie, że na powrót mogłabym usiąść w szkolnej ławce, jak zwykle w pierwszej, bo byłam najmniejsza (do dzisiaj siedziałabym pewnie w tej samej ławce). Niezapomniany, niepowtarzalny rocznik 1968 – 1972 i grono pedagogiczne, niestety, dziś już niekompletne. Jeśli już mowa o powrotach w szkolne mury, to z ochotą wróciłabym w mury starego liceum, w którym dziś mieści się skrzydło Szkoły Podstawowej.



**Licealistki w szkolnych mundurkach**

Z wielkim sentymentem i rozrzewnieniem wspominam tamte lata, tamte miejsca, a nade wszystko tamtych pedagogów, którzy wówczas kształtowali mój i nie tylko mój charakter. Ci sami ludzie wychowali moje starsze rodzeństwo – siostrę i brata. Był to okres, kiedy wchodziła moda „mini” i zaraz wspomnienia przywołują nieocenioną panią profesor Aleksandrę Sikorę. Nosiłyśmy wtedy granatowe fartuszki z białymi kołnierzykami. Fartuszki były obowiązkowo przepasane szerokimi, gumowymi paskami. Pani profesor nie znosiła „nieprzyzwoitej” mody mini, paski więc miały ją przechytryć (tak nam się przynajmniej wydawało). Otóż, przed lekcją historii wszystkie gumowe paski były chowane pod ławki, fartuszki osiągały odpowiednią długość i wszyscy byli zadowoleni. Po lekcji paski znów wracały na fartuszki, a te, dzięki nim, znowu osiągały modną, zakazaną długość. Mój Boże! - profesor Sikorzanka (tak o sobie mówiła, kiedy wspominała swój okres pobytu „na pensji”) z nieodłącznym, białym, krótkim sznureczkiem koralików na szyi, który przesłaniał bliznę po operacji tarczycy. A profesor Henryk Głuś? Czy ktoś go jeszcze pamięta? Tak rzadko używaliśmy jego imienia, że dziś już nie wiem jak miał na imię, zawsze mówiliśmy „Guś”. Rodowity krakowianin, ale wpisany w pejzaż Proszowic, na zawsze, na stałe. Kochał nasze miasto i naszą szkołę. Wszystkie dni, nawet niedziele, bo w soboty chodziliśmy normalnie do szkoły, spędzał w Proszowicach – jak nie w szkole, to z wędką nad Szreniawą. Zawsze nam mówił: „*Nie wiecie, że żyjecie w szczególnie pięknym zakątku*”. Miał rację, dla mnie jest to ukochany zakątek Polski. Człowiek poliglota, władał biegle kilkoma językami: i greką, i łaciną, i francuskim, i niemieckim. Kiedy zorientowaliśmy się, że pan profesor pozwoli się namawiać na różne opowieści, naciągaliśmy go na zwierzenia w znanych mu językach, chociaż my niewiele z tego rozumieliśmy. Najważniejsze, że umykały lekcje niemieckiego. Wiem, to było bezduszne, ale kto z nas wtedy o tym myślał? Uwielbiałam jednak słuchać (i nie tylko ja) jego opowieści o nauce na tajnych kompletach w czasie okupacji – to był „człowiek historia”. Byliśmy zwyczajni, czasami dopiekliliśmy swoim profesorom do żywca, ale też umieliśmy ponosić odpowiedzialność za swoje występki. Pamiętam, jak pewnego dnia uciekliśmy całą klasą z lekcji matematyki od pana profesora Bronisława Latowskiego, bo baliśmy się klasówki. To był „człowiek – dusza” – zrobiliśmy mu przykrość, choć wiedzieliśmy, że ma słabe serce. Pod wpływem sugestii wychowawcy – profesora Władysława Dobosza, kupiliśmy kwiaty i poszliśmy przeprosić pana Latowskiego. W swojej dobroci nie gniewał się na nas, przebaczył i jeszcze dał mądrą radę, jak powinniśmy

wspominam tamte lata, tamte miejsca, a nade wszystko tamtych pedagogów, którzy wówczas kształtowali mój i nie tylko mój charakter. Ci sami ludzie wychowali moje starsze rodzeństwo – siostrę i brata. Był to okres, kiedy wchodziła moda „mini” i zaraz wspomnienia przywołują nieocenioną panią profesor Aleksandrę Sikorę. Nosiłyśmy wtedy granatowe fartuszki z białymi kołnierzykami. Fartuszki były obowiązkowo przepasane szerokimi, gumowymi paskami. Pani profesor nie znosiła „nieprzyzwoitej” mody mini, paski więc miały ją przechytryć (tak nam się przynajmniej wydawało). Otóż, przed lekcją historii wszystkie gumowe paski były chowane pod ławki, fartuszki osiągały odpowiednią długość i wszyscy byli zadowoleni. Po lekcji paski znów wracały na fartuszki, a te, dzięki nim, znowu osiągały modną, zakazaną długość. Mój Boże! - profesor Sikorzanka (tak o sobie mówiła, kiedy wspominała swój okres pobytu „na pensji”) z nieodłącznym, białym, krótkim sznureczkiem koralików na szyi, który przesłaniał bliznę po operacji tarczycy. A profesor Henryk Głuś? Czy

postąpić, jeśli boimy się sprawdzianu. Jak niezliczoną ilość mądrych rad i wskazówek otrzymaliśmy przez ten okres? Szkoda, że docenia się je dopiero po latach...

Uczyliśmy się w trudnych czasach, o wielu rzeczach nie wolno było mówić. A jednak naszym profesorom udawało się delikatnie wplatać nieksiążkowe prawdy. Jakże wdzięczna pozostaję mojej polonistce – pani Jadwidze Kaczmarczyk, że potrafiła rozbudzić we mnie wyobraźnię, miłość do poezji, że nauczyła mnie czytać „między wierszami”.

Nie sposób we wspomnieniach opisać każdego pracującego wówczas pedagoga, a trzeba by tu wspomnieć jeszcze wielu z nich : i Marię Krawiec, i Wincentego Krawca, i Janusza Liguzińskiego, i Mariannę Stopińską czy Edwarda Sroagę. Zasługą ich wszystkich jest to, że wpoili nam zasady szacunku do ludzi, do każdej rzeczy.

Wspominając, nie można pominąć naszego szkolnego woźnego, a właściwie małżeństwa woźnych – państwa Mykałów. To dzięki nim w szkolnych piecach było na czas napalone, a klasy posprzątane. Nie było posadzek, wykładzin – były zwykłe, czarne dechy. W deszczowe lub śnieżne dni, pan woźny grzmiał: „*Psia krwio, omieć buty, mietla stoi przy drzwiach*”. Nikt się nie gniewał, nie lekcewał pana woźnego. Tych ludzi już dziś nie ma, wielu oddaje im cześć i hołd.

Dziś, po latach, nie żałuję ani jednego dnia, ani jednej chwili z tamtego okresu. Maturę zdałam w 1972 roku. Podjęłam pracę w zawodzie pokrewnym, byłam nauczycielem przedszkola (dziś sama już jestem na emeryturze), dlatego wiem, jak ciężka jest praca z dziećmi i młodzieżą. Chciałabym podziękować, w tych wspomnieniach, wszystkim byłym i obecnym pedagogom. Nie bardzo wiem, jak to zrobić, może więc ułożony przeze mnie wierszyk - rymowanka będzie stosownym podziękowaniem:

#### ***Wakacyjna szkoła***

*Idzie lato borem, lasem,  
podśpiewuje sobie czasem  
że wakacje są za pasem*

*Spakowało w plecak książki,  
pomyślało sobie:  
- dla zwierzątek  
leśną szkołę zrobię.*

*Pod krzaczkami, gdzie  
mieszkają kołczaste języki,  
będę uczyć czytać, pisać,  
układać wierszyki.*

*A pod dębem, który  
daje brązowe żółędzie,  
lekcje matmy dla wiewiórek  
lato dawać będzie.*

*Mają przecież z zapasami  
niemalo liczenia.  
Jak to zrobią, gdy  
nie znają tabliczki mnożenia.*

*Potem lato na polanę  
leci wielkim pędem,  
tam czekają ustawione  
małe pszczołki rzędem.*

*Musi lato się pospieszyć,  
bo nie mogą czekać.*

*Będą potem małe pszczołki  
po angielsku bzykać.*

*No, a potem lekcje śpiewu  
ma odbyć z ptaszkami.*

*Chce zapoznać je z nutami,  
z różnymi gamami.*

*A na sośnie czeka dzięcioł  
na lekcję techniki,  
chce się uczyć stukać dziobem,  
wybierać korniki.*

*Siedzi w dziupli młoda sowa,  
wkuwa daty, słówka,  
bo ją jeszcze jutro czeka  
z historii klasówka.*

*Tam w zaroślach małe dziki  
mają lekcje gimnastyki,  
a w pazurkach z katechizmem  
biegną myszki na religię.*

*Gdzieś na drutach  
elektrycznych,  
w smokingach jaskółki,  
powtarzają swym świergotem  
chemiczne formułki.*

*A zaś sójka, co by chciała  
zwiedzać ciepłe kraje,  
dziś egzamin, przed odlotem,  
z geografii zdaje.*

*Tylko dudek, co ma  
czubek bardzo kolorowy,  
siedzi smutny, bo fizyka  
nie wchodzi do głowy.*

*Bardzo lato już zmęczone,  
odpocząć mu trzeba.  
**OJ! UCZENIE CUDZYCH  
DZIECI  
CIĘŻKI KAWAŁ CHLEBA!***

